

Teatr

# WIJUNY CZYLI ZŁO, KTÓRE JEST W NAS

Marian Sienkiewicz

Nieczęsto się zdarza, aby debiutancka sztuka dostarczała aż tylu przejmujących skojarzeń i cierpkich refleksji o życiu, o człowieku, co „Wijuny” Teresy Lubkiewicz-Urbanowicz. Jej tekst razi w wielu momentach nieporadnością, zwłaszcza w budowaniu postaci i napięcie dramatycznych, ale równocześnie zaskakuje ogromną wprost obnażającą szczerością w korzystaniu z przeżyć i doznań osobistych. I to nie na zasadzie ekshibicjonizmu, czy łatwego spisywania własnej biografii. Przeszłość, dawne doświadczenia i przeżycia, szczególnie z okresu dzieciństwa, zjawiają się w jej sztuce niczym złowrogi cień wojny, która wywalała w ludziach zło, podłość, okrucieństwo. Zabijanie staje się wówczas dla wielu nieomal rzemiosłem, a także sposobem wyładowania nabrzmiałych urazów, utajonej agresji, napięcie. Najłatwiej wtedy jest zabić — i o zabijaniu, a także o złej niszczącej nienawiści są „Wijuny”.

Swoistym odkryciem autorki jest to, że nie demonstruje ona scen okrutnych, nie stara się wymyślić sytuacji typowej i charakterystycznej dla lat okupacji, czy wielkiej zawieruchy wojennej, która parę dziesiątków lat wstecz ogarnęła świat. Wojna w jej sztuce jest jakąś spotworzyła, złowrogą siłą, która wypacza, demoralizuje, niszczy i upodla. Tkwi niczym zaraza w ludziach, deprawuje umysły i zatrzuwa serca. Doprowadza do rozpadu osobowości, popycha do zbrodni i bezkarnego nadużywania siły. To właśnie na obrzeżach wojny — zdaje się mówić autorka — działa nieomal zawsze bezprawie, gwałt, przemoc.

I taką sytuację konstruuje w swojej sztuce. Wieś i chłopski dom, to miejsce najbardziej narażone na przemoc tych, których zdeprawowała wojna. Tu również rodzi się ów stan zagrożenia, czyhającego skądś, i niebezpieczeństwa, które może nadejść zniemacka, zza rzeki, z lasu, z sąsiedniej wsi... Autorce udało się, mimo jawnych słabości dramatycznych, zbudować złowrogi klimat niepokoju któremu ulegają jej bohaterowie.

„Wijuny” to sztuka wielowarstwowa, zbudowana z kilku planów, gdzie czas i sposób prowadzenia akcji jest z Witkacego, psychologia postaci z baśniowego realizmu prozy Tadeusza

Nowaka, a realia i folklor z białoruskiej wsi. I właśnie ten mariaż jest najbardziej zaskakujący w sztuce Lubkiewicz-Urbanowicz. I, nie waham się napisać, na swój sposób odkrywcy. „Wijuny” są bowiem mocno i rzetelnie osadzone w ludowych realiach białoruskich, a równocześnie rządzą nimi nowoczesne prawa dramaturgii. Przypomina się nawet „Matka”, której prawie replikę wpisuje autorka w swój sugestywny świat baśniowej ludowości, dominującej w reakcjach i sposobie bycia bohaterów. Adeli i Cyranka łączy przeciwieństwo jak u Witkacego tragiczny związek matki i syna. Umierająca matka Cyranka, bandyty, tego, który z nienawiści wydał na śmierć siostrę i brata, jest u Lubkiewicz-Urbanowicz również swoistym symbolem cierpienia i czekania na odmianę losu syna. Ale i on czeka — sporządzając zmyślną pułapkę — na swoje rodzeństwo, mimo że już dawno nie żyje.

Bo w „Wijunach” przecinają się zdarzenia i czas. Umarli wchodzą w świat żywych, są wśród nich, zjawiają się, aby opowiedzieć o swojej tragedii, jak zastrzelona przez bandytów siostra Cyranka, Helena — podczas wesela Antolki, jego krewnej. Cyranek widzi matkę siedzącą w trumnie, jej twarz ma Antolka — panna młoda — przed wyruszeniem do kościoła. Pojawiają mu się również matka z ojcem, którzy szykują się do ślubu. Zjawiają się również w momencie stypy i podczas wesela Antolki ludzie w wilczych skórach, ci, dla których zabijanie stało się rzemiosłem. I wreszcie najbardziej przejmująca scena finałna, poszerzona i opracowana na nowo w prapremierowym, poznańskim spektaklu. Cyranek, obsesyjnie nienawidzący matkę i równocześnie szukający u niej pomocy, a w nieustannym jej powoływaniu — ratunku, przepełniony żalem, a może i skruchą, sprowokowany przez Antolkę — dusi ją, wyobrażając sobie, że wreszcie powróciła doń matka. Wtedy ludzie-wilcy, zdradzeni kompani, unicestwiają go, tratując nogami. Ginie jak Leon w „Matce” Witkacego, choć z innych powodów.

„Wijuny” to sztuka trudna do zagrania. Wiele w niej potknięć

i miejsc niezupełnie określonych dramatycznie, jak chociażby to przechodzenie od nieomal folklorystycznie traktowanych realiów do dość skomplikowanej symboliki, wspieranej deformacją czasu i zdążeń. Izabella Cywińska, reżyserując prapremierowy spektakl „Wijunów” w poznańskim Teatrze Nowym, starała się zachować najwierniej ów realistyczny grunt sztuki Lubkiewicz-Urbanowicz, raczej upraszczając zapędy deformatorskie autorki. Stąd werystycznie potraktowane wnętrze wiejskiej chaty przez Kazimierza Wiśniaka — miejsce stypy z rodzajowo prowadzonymi płaczkami, wesela, nabrzmiewającej tragedii. Nie niszcząc kilku planów dramatycznych tej sztuki, Cywińska wolała trzymać się mocno warstwy obyczajowej. Zabrakło więc, zwłaszcza w postaciach Adeli (Wanda Ostrowska), Antolki (Joanna Orzeszkowska) i Cyranka (Janusz Michałowski), szczególnie w części pierwszej przedstawienia tego jakiegos nawiedzenia, pomylenia i fantazjowania, przejętego z prozy Nowaka. Stylistyka ta uzasadnia bowiem całą konstrukcję sztuki i dziwne, groteskowo-zdeformowane wydarzenia.

I dopiero scena finałna o bardzo pięknym rysunku scenicznym, rozgrywana na dwóch planach — w głębi wesoły taniec, a na proscenium przejmująca, rozmowa-sповідź Cyranka (Janusz Michałowski) i zmarłej Heleny w znakomitym wykonaniu Hałny Labonarskiej — w sposób naprawdę doskonały połączyła jakże trudne do scalenia warstwy utworu Lubkiewicz-Urbanowicz. Scena ta, o wyjątkowej sile i urodzie teatralnej, umieszczająca „Wijuny” w klimacie „Wesela”, pełnego zjaw, nastających obsesji i zdarzeń, zapewnia poznańskiej prapremierze zasłużony sukces.

— Państwowy Teatr Nowy w Poznaniu.  
„Wijuny” Teresy Lubkiewicz-Urbanowicz.  
Reżyseria: Izabella Cywińska, scenografia: Kazimierz Wiśniak, muzyka: Franciszek Woźniak. Prapremiera dnia 6 marca 1976.



„Wijuny” Teresy Lubkiewicz-Urbanowicz w reż. Izabelli Cywińskiej

FOT. A. JAŁOSIŃSKI

Kultura 13

2.7.76